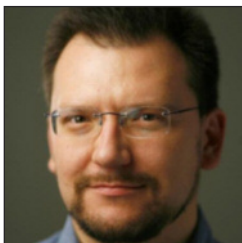


Rafał Matyja jest w złym humorze



WOJCIECH STANISŁAWSKI

Doktor historii, publicysta

Jeśli traktować „Miejski grunt” serio, nie tylko jako kolejną szpilę wbitą wielbicielom „Kossaków” („ułan, dziewczyna i krzaki”) czy zbiór ciekawostek z życia miejskiej prowincji – to z pewnością Matyja zmusza do spojrzenia w inny sposób na 250 ostatnich lat

„Dziwnym nie jest” – można by odbić rzuconą w tytule zaczepkę frazą z najwybitniejszego współczesnego komiksu polskiego. Bo przecież Rafał Matyja mógłby stanąć na czele każdego pocztu honorowego państwowców polskich, nawet, gdyby było to grono znacznie liczniejsze niż jest dziś. Biogram (choć dość powierzchowny) jest w Wikipedii, ja rzucam tylko garść skojarzeń, oczywistych dla każdego, kto kojarzy bodaj z lotu ptaka ostatnie 30-lecie: reforma Kuleszy, działania Walendziaka z okresu szefowania KPRM za Buzka, „Polska XXI” zakładana wspólnie z Janem Rokitą, Rafałem Dutkiewiczem i Kazimierzem Ujazdowskim... Jego bibliografię lepiej sprawdzać na serwerze BUW niż w Wiki, ale i tu wystarczy kilka tytułów-haseł: jak nie (pierwsza książka wydana nadziejnie) „Równi i równiejsi. Rzecz o związkach zawodowych w Polsce”, to „Budowanie instytucji państwa 1989–2001. W poszukiwaniu modelu” (współautorstwo). Jak nie „Demokracja postkomunistyczna, czyli o niedostrzeżanym aspekcie systemu wyborczego”, to „Gabi-

nety polityczne. Narzędzia skutecznego rządu”. I jeszcze, bagatela, jeden z najcenniejszych brandów ostatnich lat, zawłaszczony na poziomie copyrightu, zmarnowany (w znacznej mierze) na poziomie politycznym: „IV RP” to przecież koncepcja ale i, by tak rzec, logo Matyi. I jak z takim dorobkiem nie być w roku 2021 w złym humorze?

Po co te oskarżenia?

„Zły humor” Rafała Matyi to na szczęście nie fochy, nie dogryzanie, choć w tekście zdarzają się cienkie dość szpile. Wnioskuje o nim przede wszystkim cierpkości padających zdań, w powracających przez całą, gęstą przecież i obszerną pracę, rezydentach. Nie dziwię się im, biorąc pod uwagę to, co zostało powiedziane powyżej: grubo ponad 30 lat od rozpoczęcia działalności politycznej, blisko 20 od sformułowania postulatu IV RP, której istotą miała być nie zmiana symboliki (cięcia, kreski, korony i dymisje) lecz nowe instytucje i praktyki ustrojowe, trudno nie

być zniecierpliwionym. W najnowszej książce jednak Matyja podbija jeszcze stawkę, tj. rangę oponenta. „Miejski grunt” pisany jest w oczywistej opozycji do praktyk politycznych pokolenia III RP – ale przede wszystkim może do dominującej, zdaniem autora, wizji polskiej przeszłości. Jej schematu, replikowanego na wszystkich poziomach przekazu, od podstawówki po historiografię akademicką, oraz jej ukrytych założeń. „Nasze myśli są więziami innej historii: zbudowanej wokół patriotycznych symboli, utkanej ze spraw niepewnych i wątpliwych, a zarazem z haśleł budzących emocje”.

**Współcześni krytycy myślą,
że wywodzą się od Gajowca
i drapują się w szatę Marii
Janion, choć po prawdzie
ich zjadliwość i polityczna
dorażność trącą raczej
„Karuzelą” skrzyżowaną
z „Kuźnicą”
i „Newsweekiem”**

Cytowałbym chętnie dalej, w ogóle Matyja świetnie nadaje się do cytowania – wyrazisty, z rozpoznawalnym po kilku stronach tonem, dobrze zbalansowany między, jak powiedziałby kiper, maślaną swadą publicystyki a taninowym rygoryzmem historiografii, prawdziwy Merlot, jeśli idzie o głos *de publicis*, ale przez chwilę zatrzymam się przy powyższym zdaniu. „Więźniowie”, „sprawy wątpliwe” to określenia z pewnością budzące emocje. Jeszcze w tym samym akapicie zresztą

autor sięga po mocno nie lubiane przeze mnie „pluralis wykluczające” względnie „oskarżające”, najczęściej bodaj używane na jedynkach „Wyborczej”. „Ofiary historii nazywamy naszymi bohaterami, a tych, którym winni jesteśmy uwagę, o ile nie wdzięczność, nie znamy nawet z nazwiska”. Którzy „my”? – chciałoby się spytać lekko opryskliwie. Nazwiska Jerzego Ziętka, Antoniego Ponikowskiego czy Wiktora Litwińskiego (sięgam po drugoplanowe postaci państwowców z różnych epok, na których autor kieruje w książce naszą uwagę) znane są Matyji, mnie, a jak sędzę, redakcji i czytelnikom „Nowej Konfederacji” również; jest więc nas dosyć, by odpuścić sobie oskarżenia. Rozumiem jednak, że to emocje.

Gdyby „Miejski grunt” wyszedł spod pióra autora mniej doświadczonego, bardziej „tożsamościowego”, zaangażowanego aż do nadkwasoty w polską zimną wojnę domową, obawiałbym się takich zdań, wiedziałbym bowiem, że zapowiadają zamiar, który raz i drugi przyniósł w dziejach dobre owoce – dziś jednak wydaje się równie skarłały, co jałowy. Myślę o programowym „antyheroizmie”, o kwestionowaniu całej praktyki, retoryki i idei niepodległościowej, wyśmiewaniu powstań, patosu i panteonu – a wszystko to w imię realizmu, konkretności, zasług pracy i potrzeby modernizacji. Znamy, znamy! – dwadzieścia roczników „Monitora” o tym za króla Stasia wydano, a potem nadciągnął legion Bohatyrowiczów i Wokulskich, choć krytykę kultu powstań i pochwałę wytrwałego trudu najpełniej przeprowadził Roman Dmowski. Do niego oczywiście współcześni krytycy się nie przyznają – *apage, endecas!* Myślą, że wywodzą się od Gajowca i drapują się w szatę Marii Janion, nieustraszonej pogromczynie polskiej tanatofilii, choć po

prawdzie ich zjadliwość i polityczna do-
raźność trącą raczej „Karuzelą” skrzyżo-
waną z „Kuźnicą” i „Newsweekiem”. Na
szczęście jednak nie muszę się tego oba-
wiać u Matyi.

Modernizacja zamiast dworków i kościółków

W najnowszej książce proponuje on ca-
łościową, inną niż dotąd prezentację pol-
skiej przeszłości (co jest zadaniem bardzo
ambitnym, nawet, jeśli autor ogranicza
je, bagatela, do ostatnich 250 lat). Nie
chodzi jednak tylko o proste „przestawienie
znaków” à la Gałczyński: „więcej Osmań-
czyka, mniej Grottgera, i wszystko będzie
cacy”. Takie historie już pisano, nie zawsze
z tak świadomymi przemilczeniami, jak
w przypadku neopozytywistów z PPR
w latach 40., ba, również dziś co i raz
rozlega się wołanie (na które zresztą
starają się odpowiedzieć dziennikarze,
autorzy i prasa z prawa i z lewa) o „nowych
bohaterów”, o przywrócenie pamięci o ba-
daczach, społecznikach, przedsiębiorcach.
Szczegółowe wybory mogą być różne, pra-
wica woli Czochralskiego, Cegielskiego
i Kluskę, lewica – sufrażystki, Skłodowską
i młode naukowczynie, ale wszyscy za-
strzegają się, że nowi bohaterowie są po-
trzebni.

Matyja, owszem, dokonuje podobnego
przewartościowania. Punktem wyjścia
jednak jest dlań zakwestionowanie narracji
dotychczasowej i skupienie uwagi na pro-
cesie komplementarnym do starań o od-
zyskanie i utrzymanie niepodległości: na
modernizacji.

Z dotychczasowymi przywiązaniami
rozprawia się stanowczo. Obok jego zdania
o „naszych myślach, będących więźniami
innej historii” można dopisać kolejne.
„Straciliśmy zdolność widzenia istotnych

procesów, od lat bowiem naszą percepcję
historii oślepiają (! – ws) dzieje sprawy
polskiej” – pisze Matyja, na kartach zaś
„Miejskiego gruntu” niechęć jego różnicuje
się i widać, że dotyczy kilku obszarów.

W pierwszej kolejności zirytowany jest
tradycjonalizmem i powtarzalnością do-
robku historiografii, czy może bardziej –
współczesnej polityki historycznej. Zżyma
się na „narracje drugiej świeżości i niskich
intelektualnie lotów (...) deklamacje o dzie-
dztwie powstań, walk niepodległościow-
ych czy patriotycznych konspiracji, opo-
wiadające historię Polski pomniejszonej
do rozmiarów jednego miasta i jednego
mitycznego powiatu – z dworkiem, ze
szczęśliwą wsią i z kościółkiem”. Ten „ko-
ściółek” jest znaczący; oczywiście, jest to
przytyk salonowy, daleki od ekscesów an-
tyklerykalnych radykałów, ale widać w nim
tajoną wściekłość, niczym u młodego
Brzozowskiego, piszącego „Płomienie”
z odrazą do kłamliwej sielanki.

Matyja sięga dalej, bo jego zdaniem
obraz z „dworkiem, wsią i kościółkiem”
nie jest tylko współczesnym wytworem
konserwatystów czy sielankopisarzy: jego
zdaniem, modyfikacja polskiej przeszłości
posunięta do granic fałszerstwa, jej in-
strumentalizacja rozpoczęła się przed
dwustu laty: „Historia Polski, jaką znamy,
jest (...) przemyślnie dokonany kolażem
tego, co było potrzebne elitom, walczącym
o niepodległość w XIX w. i rządzącym
w okresie międzywojennym, i tego, co
było konieczne w okresie drugiej wojny
światowej, oraz tego, o czym trzeba było
pamiętać w czasach Polski Ludowej”. Tu
już doszła do głosu publicystyczna pasja
Matyi. Historie Polski pisano w tym czasie
różne: krytyczne, chłopomańskie i „lu-
dowe” w PRL-owskim rozumieniu tego
słowa. Rozumiem jednak, że Matyja od-
rzuca „historie fałszywe” oraz zignorowane

i krytykuje ten wątek polskiej pamięci, który uważa za najważniejszy, zachowujący ciągłość – a zarazem w ramach którego bezustannie gloryfikowano i rozbudowywano wątek walk o niepodległość.

Ze szkodą dla innych. Autor podkreśla bowiem (i w tym punkcie jest najbliższy historiom „ludowym” w sensie, jakiego nadały temu słowu ostatnie lata), iż „jesteśmy spadkobiercami tych, którzy używali wolność od poddaństwa i pańszczyzny, przeżywali moment, kiedy mogli pierwszy raz posłać dzieci do szkoły i zamieszkać po ludzku”.

Przekora Matyi

Czyli znów postulat „przywrócenia pamięci o 9/10 społeczeństwa” (ale jak, skoro wiadomo, że nie sposób napisać historii „chłopskiej” na wzór „szlacheckiej” – choćby z racji skąpości źródeł)? Nie do końca. „Nie chodzi o jakąś nową historię, która komicznie będzie to szlacheckie uwikłanie wymazywać, pomniejszać czy wyszydzać. (...) Raczej o to, by nie myśleć kategoriami *pars pro toto*, a historii jednej z warstw nie opisywać jako historii narodu” – deklaruje Matyja. W tej deklaracji widać, że nie marzy mu się napisanie kolejnej „Ludowej historii Polski” czy „Pańszczyzny”, a jednocześnie, że chce historii rzeczywiście nowoczesnej, w której w zbiorze anachronizmów czy „elementów tracącej na znaczeniu tradycji kulturowej” gotów jest umieścić również „historię sporu między «romantykami» a «realistami»”.

Decydujące jest to całościowe uznanie „narracji niepodległościowej” za rozdętą i utrudniającą rozumienie teraźniejszości, chociaż zdarzają się Matyi również wyliczki pod adresem konkretnych czasów i ugrupowań. Czasem są to stanowcze,

choć rzeczowym językiem stawiane diagnozy („Obóz sanacyjny osiągnął systematyczność w stosowaniu przemocy, wykorzystując bez oporów struktury coraz bardziej autorytarne państwa”). Częściej – uszczypliwości, czy może jeszcze inaczej: akty przekory. Dzieje się tak od otwierającego niemal opowieść cierpkiego obrazu konfederatów barskich, obozujących i wadzających się na przygranicznych ziemiach między Bielskiem a Białą – po inny, dłuższy obrazek z Białej (warto zwrócić uwagę na to mocne zakorzenienie Matyi w bardzo konkretnym i dobrze mu znanym kraj-obrazie Śląska Cieszyńskiego i „Zachodniej Galicji”, od Białej po Nowy Sącz!).

Autor zabiera nas po w podróż „miastach średniej wielkości”. Za dużych na ośrodek powiatu, śmieszny i zapyziały, z ratuszem i „kościółkiem” – za małe, by były zawiasami (pivotami) wielkiej historii

Autor „Miejskiego gruntu” sięga po dość niszowy tytuł, jakim jest monografia cmentarza rzymskokatolickiego w Białej pióra Jerzego Polaka – i czerpie stamtąd, w kilkustronicowej dygresji, „życiorysy, które przeczą prostym regułom”. Jeden z jego przywołanych z niepamięci bohaterów to „Lucian Bagsten, rocznik 1882, legionista, sanacyjny komisarz miasta Biała, a po wojnie – po krótkim, pobycie w obozie sowieckim – radny Miejskiej Rady Narodowej, wiceprezydent Białej,

członek SD i TPPR”, inny – to „Józef Chrobak, przed wojną sympatyk Stronnictwa Narodowego, działacz Sodalicii, a po wojnie prezes oddziału ZNP, członek SD i radny miejski w latach 50.”. Interpretuję tę przekorę jako wyraz śmiertelnego niemal znużenia politgramotą, przewidywalnością programów nauczania, obchodów patriotycznych, wynoszenia na piedestał wyłącznie partyzantów. W tym wyborze „pozytywistów z cmentarza” ważne jest jednak i to, co Matyja uważa w nich ewolucji za szczególnie cenne, na jakie postawy chciałby zwrócić uwagę.

Zwrot z Sodalicii ku Miejskiej Radzie Narodowej, a z Legionów – do TPPR opisywano bowiem, jeśli w ogóle poświęcano uwagę takim ścieżkom kariery w PRL, jako wyraz – różnie to ujmowano: pragmatyzmu, realizmu, „neopozytywizmu”. Matyja wprowadza inny kluczowy dla jego wywodów termin: „sprawczość, czyli wprowadzanie widocznej – niekoniecznie gołym okiem – zmiany”. To tę sprawczość stara się dostrzec w działaniach rzeszy administratorów, polityków (zwykle niższej rangi), przedsiębiorców, dyrektorów szkół i szpitali, inwestorów i urbanistów – w ich wysiłkach ostatnich 250 lat upatrując istotnej „osi polskiej historii”. To sprawczość chciałby postawić najwyżej na piedestale „cnót obywatelskich”, wyżej niż tradycyjne, często epizodyczne lub histrioniczne bohaterstwo. „Myślałem o zgubionym wątku historii politycznej – jeżeli przez politykę rozumiemy sprawczość, która nie jest wyłącznie biznesem, nie jest twórczością artystyczną czy działalnością religijną” – deklaruje Matyja. – „Czytelny kryterium tej sprawczości było wprowadzanie widocznej – niekoniecznie gołym okiem – zmiany. Zmiany w przestrzeni, sposobach zachowań, możliwościach jednostek”.

Moc średnich miast

Takie działania możliwe są przede wszystkim na „miejskim gruncie”, to on tworzy dla nich oparcie. I to trzecia ważna składowa propozycji Matyi: chcąc pokazać nam, na czym polegała sprawczość i gdzie była realizowana, sięga do historii kilkadziesiątu polskich miast. Przypomina ich stosunkowo niedawno odkryte znaczenie już nie jako izolowanych ośrodków, lecz jako węzłów sieci – następnie zaś zabiera nas w nie do końca konsekwentną, utkaną z wybranych przykładów, fascynującą podróż po „miastach średniej wielkości” (choć oczywiście pojawia się i Warszawa, i Łódź, i Wilno z Krakowem). Za dużych na ośrodek powiatu, śmieszny i zapyziały, z ratuszem i „kościółkiem” – za małych, by były zawiasami (pivotami) wielkiej historii.

Pokazują natomiast ich dzieje narastanie, na węzłach „sieci miejskiej”, kolejnych sieci – kolejowej, telegraficznej, administracyjnej, gimnazjalnej, sieci aresztów, szpitali i szczepień, telefonów i tramwajów konnych, związków zawodowych i ZUS-u – i wreszcie zyskują swoją podmiotowość i indywidualność. Dotąd były mięsem armatnim dziejów, zamykane we frazie „miasta średniej wielkości” jak aktorzy epizodyczni w formule „i inni” na końcu listy castingowej. Tymczasem Matyja – można przynajmniej doznać takiego wrażenia – niezależnie od ogromu wiedzy z zakresu historii lokalnej z żywą radością sięga po mrowie tych nazw, niemal jakby w rajskiej potrzebie nadawał im imiona. I to działa, swoją tożsamość zyskują na chwilę w oczach czytelnika „Łódź, Poznań, Bydgoszcz, Toruń, Płock, Kalisz, Katowice, Będzin, Sosnowiec, Bielsko i Biała (...) oraz Lublin, Rzeszów, Nowy Sącz, Kielce,

Radom i Częstochowa” – nawet w tak dramatycznych okolicznościach, jak jesień 1939 roku (powyższe wyliczenia to nazwy miast które, znalazły się, odpowiednio, w Wielkiej Rzeszy – lub w Generalnej Guberni).

Jeśli traktować „Miejski grunt” serio, nie tylko jako kolejną szpilę wbitą wielbicielom „Kossaków” („ułan, dziewczyna i krzaki”) czy zbiór ciekawostek z życia miejskiej prowincji – to z pewnością Matyja zmusza do spojrzenia w inny sposób na 250 ostatnich lat. Spojrzenia tym trudniejszego, że dążenia do sprawczości są

znacznie bardziej zdecentralizowane niż dążenia do niepodległości. Nie wymagają wodzów ani dyktatorów, działania na skalę całego kraju – nie da się więc stworzyć ciągu „Czartoryski-Traugutt-Piłsudski-Pilecki”. Ta książka Matyji ma swoją dużą wagę jako propozycja historiograficzna – i znacznie więcej, jeśli potraktować ją jako zaczyn praktycznego działania obywatelskiego.

*Rafał Matyja, „Miejski grunt. 250 lat polskiej gry z nowoczesnością”,
Wydawnictwo Karakter, 2021*